

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

14

Ciąg dalszy.

— Wracam od ciebie — odpowiedziała po cichu. — Zaraz po wyjściu pana Le Chars pobiegłam do ciebie, lecz mnie nie przyjął. Czy wiesz, że twój mąż zakazał mnie wpuszczać.

— Co ty mówisz?

— Tak jest. Portier zażenowany, ponieważ zna mnie już dawno, nie chciał mi pozwolić wejść, bym poczekała na ciebie. Powiedział mi: takie otrzymałem rozkazy, tylko pan markiz może być dla pani widzialny.

— Zaraz to zbadam. Chodź ze mną. Przekonamy się, czy będą mieli zuchwałość wobec mnie...

— Po co, Auroro! Jeżeli markiz wydał taki rozkaz, cóż z tego, że go naruszysz?

— Lecz czyż ja dopuszczę, by przed tobą, droga Joanno, drzwi zamykano?

— Nie jesteśmy w zwykłych warunkach. Skorzystajmy z tego spotkania. Mam ci tyle rzeczy do powiedzenia!

— Nie możemy przecież rozmawiać na ulicy.

— Weźmy karetkę i jedźmy do Lasku.

Joanna opowiedziała przez drogę, nie opuszczając żadnego szczegółu, całą spowiedź Maurycego, wszystkie okoliczności towarzyszące śmierci Roberta i porwanie papierów przez „Czarną księżniczkę“. Wreszcie z pewnem wahaniem wspomniała i o poświęceniu się Maurycego, by uznać dziecko swego brata przez poślubienie Joanny.

W pierwszej chwili pani Morailles przeraziła się: — Ależ ja nie mogę opuszczać swego syna!

Joanna, która jaśniej zdawała sobie sprawę z całego położenia, widziała w pragnieniu Maurycego jedyny środek ocalenia dziecka.

— Na to jednak trzeba się zgodzić, Auroro. Nigdy bowiem nie będziesz mogła uznać go za swego. Według prawa zawsze on będzie dla ciebie obcym. Że ty, Joanno, uchodzisz za jego matkę, z tem się już pogodziłam, lecz żeby pan Le Chars, zupełnie nieznany...

— Przecież to brat Roberta...

— Czy zgadzasz się na to małżeństwo?

— Wierz mi, że bez żadnej ukrytej myśli. Jedno mam tylko pragnienie, by tobie oszczędzić przykrości, by zabezpieczyć los twojemu dziecku.

— Och wy będziecie je kochali, nie porzucicie choćbyście mieli własne dzieci?

— Czyż możesz wątpić? — odpowiedziała Joanno, biorąc za rękę swą przyjaciółkę.

— Lecz nie widzieć Jacka! Ja nie zniosę tego zosłłączenia.

— Pomyśl, że tylko w ten sposób możesz uśpić podejrzenia męża, uwolnić się od ciągłego śledzenia. Wenecja nie daleko, będziemy przyjeżdżali z Jackiem, a narazie masz drugiego syna.

— Dlatego też, by go nie stracić, nie porzucam domu na zawsze.

I markiza rozplakała się, kryjąc twarz na ramieniu Joanny.

* * *

Pan Morailles dowiedział się z zadowoleniem, że Abel Smith czeka. Detektyw usadowił się w jego gabinecie w wygodnym fotelu i przeglądał ilustracje.

— Cóż więc się stało, drogi Roggers, z tą piękną damą?

— Pojechała....

— Pojechała?

— Tak, przedtem jednak z pomocą Cockleya wyciągnąłem z niej zeznania.

— Zeznania?

— Tak. Pewna siebie kreatura, chociaż ponętna. Tak, tak. Ale nasz gatunek ludzi jest od takich wpływów zabezpieczony.

— Ale ma pan papiery, jakie chciała sprzedać?

— Jakie papiery?

— List i depesę.

— Mistyfikacja, *dear sir!* Zmyślane! Nigdy nie podobnego nie istniało.

— Cóż znowu!

— Słowo! — odpowiedział Roggers flegmatycznie, lecz z pewnością w głosie. Potem zmyślał dalej:

— Naiwna! czy pan wie, że ta naiwa wysłała takie listy nie tylko do pana, lecz do innych.

— Co pan mówi? czy doprawdy?

— Miała sporo tych listów, zupełnie podobnych do pańskich i przygotowanych już do wystania w kopertach z naklejonemi markami.

— Nie?... czyż możliwe?

— Tak, jak mówię! Prawda, jest pan przyjacielem księcia d'Eylau?

— Tak.

— Bardzo dobrze, miał on dostać jutro swoją porcję... A baron Levhiel?

— Członek klubu.

— Doskonale. I dla niego był pakiecik.

Ton szczerości w głosie Roggersa, swoboda i naturalność w zachowaniu się, zaczęły przekonywać markiza.

— To nieprawdopodobne?

— Dlaczego? Bardzo możliwe. Ta Colson — tak się ona nazywa — grała na pewnego. Czyż wielu jest ludzi, którzy nie mieliby nic go ukrycia?

Markiz przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju awantur, z trudnością mógł uwierzyć w coś podobnego; patrzył Roggersowi prosto w oczy, lecz ten najspokojniej wytrzymał jego wzrok i grając dalej swą rolę, mówił tonem konfidencyjnym:

— Wie pan, że jest to uczestniczka kradzieży u Sunda. Awanturka pierwszej klasy, występująca z powodzeniem w wielkim świecie. Pan zapewne o niej słyszał: księżna Strekow.

— Acha, tak! Wszędzie wynikały skandale, gdzie ona była. Istotnie, to ona?

— Ona, tylko już nie tak młoda, nie tak piękna, zrujnowana bez wątpienia i w dodatku współniczka bandy międzynarodowych złodziei.

— To nieprawdopodobne. Lecz jak, mój drogi Roggers — nie wątpię o pańskim słowie — jak pan przekonał się, że ten list i depesza nie istnieją.

— To bardzo proste — odpowiedział detektyw obojętnie. — Widząc, że partya przegrana, gdyż wtedy już położyłem rękę na brylantach mistress Sund — opowiem to panu później — Colson napisała w moich oczach i podpisała list, w którym przyznaje się do szantażu.

— A ten list? — zapytał pan Morailles.

— Oto jest.

Roggers podał go markizowi, który przeczytał zaraz to zeznanie, poczem rzekł z ulgą:

— Istotnie!... Jakże ja wdzięczny jestem panu, mój drogi Roggers.

— Ależ nic. Bardzo proste. Mój zawód — odpowiedział lakonicznie detektyw.

— Pan markiz zamyślony, przyglądał się ciągle listowi księżnej Strekow. Spadł mu ciężar z serca. Duma jego przestała cierpieć, że on, nowożytny don Juan może być zdradzony i to przez własną żonę.

— Chodźmy już na śniadanie. Pan mi opowie — przyrzekam być dyskretnym — jak pan sobie poradził z tą wschodnią księżniczką.

— Bardzo chętnie. Lecz zachowa pan to w tajemnicy. Mój zawód!

— Słowo Morailles'a.

— A więc dobrze. Dokąd pan prowadzi?

— Do *America-Club*.

— Wiem, że dobra tam kuchnia.

— A wina jeszcze lepsze.

— Przypuszczam. Lecz żadnych ekscesów. Nocą jadę do Newhawen.

— W takim razie należy pan do mnie, aż do odjazdu.

— Z przyjemnością, chyba, że coś niespodziewanego... sprawy!

— Ponieważ nie zna pan mojej stajni, po południu pojedziemy do Chantilly. Dobrze?

— *All Right!*

Kuchnia „Amerykańskiego Klubu“ zasługiwała w zupełności na swą dobrą renomę. Markiz rozkoszował się potrawami. Roggers jadł w miarę, pił mało, mówił dużo. Chciał przez naturalny ton i szczegóły jasno określone, wzbudzić w markizie zupełną wiarę w swe opowiadanie. I to udało mu się.

Pan Morailles z początku zamyślony, zaczął z wolna pod wpływem wykwintnego śniadania pozbywać się swych podejrzeń; traciły one stopniowo w nim grunt, pozostało jednak wspomnienie ранego spotkania, które ciągle wydawało mu się niejasnym. Roggers śledził jego myśli i spostrzegł, jak znowu zasępią się. Uznał, że trzeba zmienić miejsce i otoczenie.

— Miał mi pan pokazać swe wyścigowce?

— Dobrze, jedźmy w takim razie do Chantilly.

Wkrótce pomknęli samochodem. Markiz zaczął z wolna przejmować się opowiadaniem o koniach, gdy Roggers zamyślił się, jak uśpić jego podejrzenia i jeszcze przed wieczorem oddać pani Morailles list i depesę.

XXIV.

ZOFIA MILCZY, MISS HALLAM MOWI.

Długa rozmowa obu przyjaciółek dobiegała wreszcie końca. Joanna zwierzyła się jeszcze pani Morailles ze swymi obawami co do Wiery. Przedtem jeszcze była na ulicy Raynauand, by dowiedzieć się u garbatej gospodyni, czy Wiera wróciła. Sklep jednak był zamknięty, na zapuszczonych żaluzjach był przyklejony kawałek papieru z napisem „zamknięte z powodu nieobecności“. A co najdziwniejsze, zdawało się jej, iż spotkała tam tego samego ajenta, który śledził ją po wyjściu od prefekta. Stał on z boku i obserwował sklep. By nie zwracać na siebie uwagi, przeszła obojętnie, jakby ta restauracja i ten sklep z winami wcale jej nie interesowały, choć serce mocno biło jej w piersiach.

Czy policja śledzi towarzyszy Wiery i ją samą? Gdzie ona teraz znajduje się, czy jej co złego nie grozi?

Pani Morailles podzielała te obawy, lecz nie tak przejęła się niemi jak Joanna; zbyt ciężko na niej własne troski.

Karetką zatrzymała się.

— Muszę wyjaśnić ten zakaz mego męża — odezwała się markiza.

— Bądź tylko ostrożna.

— Zaraz ci wszystko napiszę.

Pani Morailles udając się do siebie, zaszła jak zwykle do pokoju Andrzeja. Pojechał o jednak na spacer, była tylko guwernantka. Minę miała smutną i poważną, zajęta układaniem rzeczy do przyszłego wyjazdu. Przy wejściu markizy zawałała się z początku, potem odezwała się:

— Pragnę przez chwilę pomówić z panią markizą.

— Proszę, miss Hallam.

— Pani zawsze była bardzo dobrą dla mnie. Ja tego nigdy nie zapomnę. Chociaż ja nie byłam pani powiernicą, uważam jednak za swój obowiązek przestrzedz panią przed swym odjazdem o niebezpieczeństwie...

— Pani odjazd?... Co to znaczy?

Miss Hallam opowiedziała o rozmowie z markizem i o swym zachowaniu się.

— Bardzo serdecznie pani dziękuję, — odrzekła wruszona pani Morailles — niczego innego nie mogłam spodziewać się od pani szlachetności.

Po chwili dodała:

— Pani sobie zapewne przypominam, iż już tłumaczyłam swą nieobecność w Roche-Forte z powodu choroby pani Dandre, której nie mogłam pozostawić samej.

Miss Hallam skłoniła głowę, jak ktoś, kto nie chce poznać rzeczywistych przyczyn jakiegoś czynu:

— Pani mi powiedziała to, co uważała za stosowne; ja nie mogę się mieszać w cudze tajemnice, na to tylko chcę zwrócić pani markizie uwagę, iż nie wszystkie spojrzenia, jakie pani tutaj dokoła siebie spotyka, są jednakowe szczerze.

— Co to znaczy, miss Hallam? — zapytała markiza przestraszona tajemniczymi słowami starej panny.

— Nie wszyscy, którzy żyją pod tym dachem mogą odczuć to, co się w pani dzieje. Pani ma tu nieprzyjaciół, panią zdradzono, wydano mężowi.

— Kto taki.

— Niech pani szuka koło siebie. Nie chcę nikogo zdradzać. Pani może wierzyć w moje przywiązanie do Andrzeja, ono mnie skłania do przestrzeżenia markizy.

— Pani coś wie, miss Hallam, pani podejrzewa więcej niż chce mi powiedzieć...

— Niech pani markiza o nic mi się nie pyta.... Przed wyjazdem swym chcę tylko ostrzedz panią i życzyć szczęścia, jakiego pani jeszcze nie zaznała.

Łzy okazały się w oczach pani Morailles. A więc guwernantka wszystko wiedziała, poznała całą tajemnicę, kryjąc ją w sobie.

— Tak, miss Hallam, każdy z nas ma swój krzyż. Pani współczuła mi. Jakże ja mogę teraz odwdziżyć się? Czy zechce mnie pani pocałować?

— Z całego serca!

I stara purytanka, która poprzednio nie przyjęła ręki podanej przez panią Morailles, objęła serdecznie markizę.

Gdy pani Morailles wróciła do siebie, zaraz Zofia pospieszyła zdjąć jej obuwie i zmienić suknię. Zawsze szukała sposobności, by coś się odezwać, odgadnąć chęci swej pani, teraz milczała nieśmiało.

Jeżeli kto mnie zdradził, pomyślała markiza, to nie kto inny, jak ona.

W tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę zobaczyć, kto tam.

Pokojówka wyszła.

— To Kajetan, proszę pani, chce coś powiedzieć.